DZIŚ I JUTRO



Fot. T. Zwoliński — Zakopane. Pieniny.

ROK V. 15. WRZEŚNIA 1928. Nr. 1.

Cena numeru pojedynczego 80 groszy.

DZIŚ I JUTRO
PISMO DLA MŁODZIEŻY ŻEŃSKIEJ
WYCHODZI 15. KAŻDEGO MIESIĄCA.

ROK V. 15. WRZEŚNIA 1928. № 1.

DO PRACY!



Nowy rok szkolny — nowe przedmioty nauki, nowe książki, a więc i zapał nowy, bo nowość wszystkich nęci.

Zapał szybko jednak mija i spostrzegamy wkrótce, że udziałem naszym jest znowu praca, żmudna codzienna praca szkolna, ze zwykłem „zadawaniem" i wykończeniem zadania na mniej lub więcej ściśle oznaczony termin. A to tak męczy, tak nuży! Żeby to można było pracować tylko wtedy, kiedy się zechce i tak, jak się zechce, to przecież byłoby łatwiej!

Być może, ale wejrzyjmy w naszą codzienną szkolną pracę z innego punktu, a znajdziemy w niej nowe pole zainteresowań.

Weźmy pod uwagę charakterystyczny rys pracy szkolnej — jej społeczność.

Zagadnienia społeczne budzą dziś ogólne zainteresowanie i kto może zaprzęga się do „pracy społecznej".

Pracą społeczną nazywamy zwykle zbiorową, zorganizowaną akcję, służącą wspólnym celom, mającą na oku wspólne dobro, a zwłaszcza uchylenie niedomagań, wynikających z nierównego podziału dóbr.

Zorganizowanie akcji polega na podziale pracy według zasad sprawiedliwości, określającej prawa i obowiązki jednostki — oraz miłości, skłaniającej do dawania ze siebie ponad obowiązek.

W pracy szkolnej mamy wspólny cel: przysporzyć Polsce dzielnych pracowników, którzyby coraz doskonalej realizowali w życiu publicznem i prywatnem ideały miłości Boga i Ojczyzny.

Na drodze do osiągnięcia tych zamierzeń staje nierówny podział dóbr wśród ludzi. U jednych przewaga doświadczenia i zasobów wiedzy — u drugich zapału do wielkich poczynań.

Niestety, poczynań tylko bez dokończeń. Brak doświadczenia powoduje bowiem niepowodzenia, brak szerszych widnokręgów przez gruntowną wiedzę dostarczanych — zanik wyższych celów, za tem idzie zniechęcenie, bezczynność, pesymizm.

Niedomaganiom tym zapobiega szkoła, dokonywując w szeregu programów i przepisów podziału pracy tak, by każdy dał i dostał co sprawiedliwość nakaże, by mógł dać więcej nad to, gdy miłość serce jego rozgrzeje.

Społecznie usposobiony człowiek wiernie przestrzega podziału pracy, wiedząc, że „ograniczenia społeczne nie szkodzą osobistemu rozwojowi jednostki, lecz są nieodzownym warunkiem tego rozwoju“. One to bowiem „pomagają ująć w karby wewnętrzne odruchy odśrodkowe, indywidualistyczne, łamiące prostą linję rozwoju osobistego, jednocześnie stają się najcenniejszą ochroną tego wewnętrznego procesu krystalizowania się własnej osobowości“ (ks. Woroniecki: „Wychowanie społeczne“). Doskonaląc się w społeczności jednostka bierze i daje równocześnie. Przestrzegając podziału pracy spełnia dokładnie, co jej w udziale przypadło i nie traci z oczu stosunku swej pracy do ogólnej i całej pracy do celu wspólnego.

Ścisłość w spełnianiu przepisów szkolnych, dających nam podział pracy i obowiązków jednych względem drugich, jest miarą naszego doskonalenia się wewnętrznego i wyrobienia społecznego. Wyłamywanie się z pod tych przepisów jest niedociąganiem w obu kierunkach.

Wejrzyjmy w rozpoczynającą się pracę szkolną, szukajmy w niej „nowych dróg“ społecznej współpracy w duchu sprawiedliwości i hojnej, szerokiej miłości.

N.

SKAŁY NAD DUNAJCEM.

Stanęły w zwartym szeregu
I wrosły wszystkie nad wodą,
Znieruchomiałe w zachwycie
Nad sennej rzeki urodą.

W borów świerkowych opony
Jak w płaszcz fałdzisty wtulone,
Tak się wpatrują od wieków
W Dunajca wody zielone.

U stóp ich toń się kołysze
I bije w skalne podłoże,
A one stoją — i żadna
Oczu oderwać nie może.

Wilgotnych pieczar źrenice
I wszystkie skalne szczeliny
Patrzą jak oczy otwarte
W Dunajca ciche głębiny.

Próżno mew białych gromady
Raz w raz zrywają się z ziemi
I w skały biją skrzydłami
I krążą kwiląc nad niemi...

Napróżno słońce nad szczyty
Chodzi w purpurze i złocie,
Oczu oderwać nie mogą,
Odwiecznej wierne tęsknocie.

I stoją setki stuleci
Wtulone w borów poszycie,
Wpatrzone w przepaść Dunajca,
Zakamieniałe w zachwycie...

S. M. T.

DUNAJCEM PRZEZ PIENINY.

Auta zamówione na jutro; marszruta wyznaczona. Siedzę jeszcze i przeglądam mapę i przewodnik [1]).



Fot. Zwoliński — Zakopane Czorsztyn.

Nazajutrz dzień wstał śliczny. O umówionej godzinie auta trąbią przed domem, liczne towarzystwo wypełnia szczelnie nietylko formalne ale i potencjalne siedzenia; gwarno, rojno. Ruszamy. Od Chabówki autc sapiąc pnie się pod górę. Wkrótce otwiera się przed nami rozległy widok na Babią Górę, w dali na Luboń i Gorce. Na południe łańcuch Tatr o śmiałych rysach granitu; gdzieniegdzie jeszcze śnieg wygląda z zapadlisk między szczytami. Jakże inne są Tatry od kopulastych wzgórz karpackich! Auto oddycha lżej.. mijamy pola ukwiecone mieczykami, (chwast, bo chwast — ale ładny); p. Ola naturalnie, chciała iść zbierać, ale to już taka konsekwencja niewieścia (excusez-mesdames)! Zjeżdżamy w kotlinę nowotarską. W dali majaczą już Piěniny.

Jak na przekór, dzień dziś widać targowy, bo furki góralskie zalegają drogę, wystraszone konie strzygą uszami, baby się oglądają, a my lecimy, zostawiając za sobą obłoki kurzu. Szofer zręcznie wymija przeszkody, na moście w Nowym Targu witamy Dunajec, pytając, co nam gotuje w swem zaklętem królestwie pienińskiem. Przejeżdżamy parę nie-stołecznych ulic i znów mkniemy szosą wśród pól i wsi, z panoramą Tatr od południa, a pasmem kopiastych Gorców od północy. Dunajec płynie równolegle do nas, wabiąc zieloną wstęgą i szumem pian na skałach szepce obietnice. Prędzej! Prędzej!

Za Dębnem przejeżdżamy na lewy brzeg Dunajca i wkrótce staje przed nami Czorsztyn. Na wysokiej skale sterczą w niebo ruiny, nieugięte jak dawny pan ich, Zawisza Czarny; tu przebywał Kostka Napierski; tu zjeżdżał szereg królów polskich. W końcu XVIII wieku pożar od pioruna zniszczył część zamku... odtąd pada on w ruinę.

Auta stają: most na Dunajcu uszkodzony, zresztą i takbyśmy daleko nie dojechali, bo o parę kilometrów granica czeska, ale co główne, od Czorsztyna już mamy wsiąść do łódek; płynąć, płynąć... Woda nęci, a gromada żebrzących cyganiąt i cyganek, co nas opadła, nie zachęca do dłuższych medytacyj w tem miejscu.

Mamy jeszcze ochotę zajrzeć do zamku niedzickiego, co się za mostem wznosi na świerkami krytej górze, ale niewiadomo, czy właściciele powitaliby nas radzi, bo część zamku z cennemi zabytkami jest zamieszkana.

Itaque: odprawiamy auta, które objadą Pieniny szosą od północy, czekać nas będą koło Szczawnicy i zamawiamy 3, a właściwie 12 łódek. Dziwne to łódki, każda z pnia drzewnego wyżłobiona, po cztery łódki związane razem sznurami, bo łódź pojedyńcza wywrotna, zwłaszcza na Dunajcu. Przewoźnicy, smagli górale, stają po dwóch na przodzie i z tyłu łodzi i chwytają za żerdzie. Wpływamy w prąd niezbyt tu jeszcze wartki; na razie nic niezwykłego, krajobraz uroczy zieleni i wzgórz przeciętych lśniącą w słońcu rze-

[1]) „Przewodnik po Beskidach Zachodnich" prof. K. Sosnowskiego. Wydanie drugie. Kraków 1926. nakł. „Orbisu"

ką, nad którą unoszą się tu i ówdzie białoskrzydłe mewy.

Zwolna występuje coraz więcej skałek naokoło nas oko szuka „trzech Koron“. Oto są! Coprawda nie trzy, ale kilka, trzy jednak są najwyższe. Iście zębata korona z szarej skały.

Młodzież rzuca na wody rzeki szerokie, swojskie melodje pieśni. Ale oto jakaś muzyka brzęczy: to cygan skrzypek z cyganiątkiem, po pas we wodzie stojąc, rzempoli. Co za dziwne obyczaje! usiłujemy mu rzucić parę groszy, ale stoi zadaleko. Opodal znów widowisko: kilkoro dzieci trzyma, stojąc w wodzie, umajone bramy z gałęzi. Na razie nas to zaciekawia, ale potem dość będziemy mieli tych obrazków: nieestetyczny i niehigjeniczny sposób zarobkowania, to też zamiast rzucać groszaki, radzimy dzieciom wziąć się do plecenia koszów, czy innej roboty.



Fot. Zwoliński — Zakopane. Trzy Korony.

Ach, te Trzy Korony! co rusz to z innej nieco strony je oglądamy, bo Dunajec kręci się. „Proszę siadać!“ komenderuje przewoźnik. Chcąc-niechcąc kurczę pedały i siadam. Oto quasi-wodospad: woda pieni się i szumi, fala bryzga do łódki. Żerdzie momentalnemi ruchami odpychają łódź od głazów sterczących z wody. Znów bieg rzeki spokojny — tylko od czasu do czasu głaz sterczy, oporny na pieniącą z wściekłości wodę-zdobywczynię. Przewoźnik wciąż bacznem okiem obejmuje zieloną falę.

Mijamy jakąś małą, górami od świata odciętą wioszczynę, jeszcze parę zakrętów Dunajca i stajemy na wypoczynek w Sromowcach Niżnich niemal u stóp Trzech Koron, co prostopadłą ścianą opadają ku wodzie. Wyglądają wspaniale, sterczące przeszło 500 metrów nad rzeką, szare, strzeliste, od wieków zapatrzone w przedziwnie malowniczy przełom Dunajca. Skąd się tu wzięły? Skąd ta ściana tak urwiście w dół spadająca? Ile tysięcy i tysięcy lat stoją? Człowiek-robaczek krótkowieczny myśli: przeszło nas tu już wielu, grzebiąc w skałach, by z ich pisma tajemnego, ze znaków świata dawno obumarłego dzieje olbrzymów wyczytać.

Pieniny, to skałki wapienne przeważnie, resztki czoła płaszczowin wielkich, wśród otaczającego, młodszego [1]) fliszu Karpat osadzone. A ten przełom? Co za siła porozcinała jakby na pół te skały? Dunajec w swych zielonych wodach chowa tajemnicę przełomu. Niegdyś — Pieniny i kotlina nowotarska były na jednym poziomie; wskutek spękań skorupy ziemskiej kotlina dzisiejsza się utworzyła, a pra-Dunajec nie zmienił swego biegu, wżerać się zaczął w grzbiet skalisty, a wapień ulegał i czar swych form korozyjnych z dziełem rzeki-rzeźbiarki w cudowny przełom połączył.

Czas jechać dalej, bo choć w prostej linji z Sromowiec do Szczawnicy Niżnej jest zaledwie $2^{1}/_{4}$ km, Dunajec skrętami płynie aż 9 km. Mijamy teraz Czerwony Klasztor po stronie czeskiej, dziś szary i pusty, dawniejszą nazwę od czerwonego dachu otrzymał. Wjeżdżamy w wąwóz ciasny między stromemi ścianami. Szarość skał zielenią smreków bajecznie malownicza.

Mijamy „Zbójecki skok“; w ścieśnionem korycie woda pieni się i huczy, tu niegdyś

[1]) Skamieliny wskazują ogólnie w Pieninach na skały wieku jurajskiego.

mieli zbójcy przed przyjęciem do bandy zdawać egzamin zręczności...

Dunajec robi co chwila zakręty tak nagłe, że nie wiemy często, co dalej będzie-rzeka zdaje się gdzieś ginąć pod skałą, by się potem znów rozlać jakby w zamknięte jezioro wśród skalnych ścian.

Stajemy znów na chwilę przy stuletniej wodzie; ze zbocza skał tryska źródełko. kto się tej wody napije, sto lat żyć będzie. Przed nami Sokolica; oczu od niej oderwać nie mogę; stoi nad wodą szara, prostopadłą ścianą w rzekę wpadając. „Orły, sokoły, dajcie mi skrzydła“!

Znów płyniemy. Po czeskiej stronie gromadka kobiet z dzbanami zachęca nas do „stuletniej wody“. „Mamy swoją polską“— odrzuca dumnie przewoźnik. „My też Polki“ płynie nad wodą odpowiedź. Białe słupy graniczne ludu polskiego w Czechów nie odmieniły.

Hukowe skały odbijają rozgłośnie echo, mijamy Mnichów zamodlonych, huczący zakręt Facimiechu, okrążamy z kilku stron Golicę; jeszcze parę zakrętów Dunajca, a już widać schronisko Sienkiewicza u wylotu Pienin; tu styka się na szosie biegnącej prawym brzegiem rzeki granica czeska z polską; dwóch żołnierzy siedzi razem — tylko mundury ich wyróżniają.

Auta czekają nas na kamienistej plaży, a orkiestra cygańska rzempoli. Po drodze wstępujemy jeszcze na posiłek do Szczawnicy. Po uroku Pienin, gdzie nieliczni ludzie ginęli w cudownem bogactwie form i życia przyrody, Szczawnica ze swemi wąskiemi ulicami, z parkami przepełnionemi tłumem izraelskich spacerowiczów dusi nas nieznośnie.

Ledwieśmy odjechali, tęskni serce do Pienin. Auta trąbią, wracamy wśród tumanów kurzu do domu.

Ignacy Mazinek.

NA HALI.

Dziń, dziń, dziń — dzwoneczki dzwonią na hali —
Dziń, dziń, dziń — dzwonią to bliżej to dalej.
Dziń, dziń, dziń — i głoszą wysokim lasom
Że, dziń, dziń, na hali owce się pasą.

Czarniawo-białawą chmurą
Wyszły od dolin ku górom.

Przeszły przez jary, manowce
Bielutkie i czarne owce.

Przeszły przez wzgórza i rzeczki
Białe i czarne owieczki.

Przeszły przez ścieżki polanki —
Białe i czarne baranki.

Dziń, dzin, dziń — a teraz dzwonki na hali —
Dziń, dziń, dziń — dzwonią to bliżej to dalej.
Dziń, dziń, dziń — i głoszą wysokim lasom
Że, dziń, dziń, — na hali owce się pasą.

M. Czerkawska.

NOC KSIĘŻYCOWA.

Noc zapada nad doliną,
A od skały aż do skały
Po bezgwiezdnem modrem niebie
Chodzi sobie księżyc biały.

Mrok otulił smerki stare
Kolebane w senne ruchy;
Po pieczarach, obudzone
Szepczą z wiatrem górskie duchy.

I powietrzem czarnem idą
Jakieś szumy i poszumy...
Szemrzą wody przerażone,
Gną się śmigłych świerków tłumy.

Ciemność wkrąg, choć oko wykol,
Tylko księżyc skalne żebra
I zielonej wody tonie
Poomotał w siatkę z srebra.

S. M. T.



T. Zwoliński — Zakopane. Czorsztyn.

DROGAMI OLBRZYMÓW.

Zielonkawe światło elektrycznej lampki rzucało słabe swe promienie na wielki gabinet dyrektora Britisch Museum. Max Brown siedział pochylony przy biurku, wpatrzony w niewyraźne kopje chettyckich dokumentów i mruczał półgłosem praindoeuropejskie końcówki:

— Mi... si... ti... — a więc eszmi, eszsi, eszti... Pisownia zgadza się, ale brzmienie? Któż słyszał kiedy chettytę mówiącego?

Nagle rozległ się dzwonek. Max spojrzał na zegarek. Było już po północy. Któż ośmieliłby się o tej porze przeszkadzać mu w pracy? Zniecierpliwionym ruchem zerwał się z krzesła i podszedł do drzwi.

— Who is there?

— John Haartman — odpowiedział głos z za drzwi.

Max zdziwiony przyjął niespodziewanego gościa.

— Co cię sprowadza, Johnie, o tak późnej porze do mojej pracowni? Zdawało mi się, że wyjechałeś na kika dni z Londynu, bo mówiłeś mi o tym zamiarze.

— Tak, właśnie wracam z Liverpool i prosto z lotniska przybiegłem do ciebie. Słuchaj, wczoraj przybił okręt z Pekinu i przywiózł najnowsze dokumenta z Tybetu. Oto list do Ciebie od Vendley'a. Dokumenty niezmiernie ciekawe...

Max rozerwał kopertę i przebiegł oczyma pierwszą kartę listu. Na twarzy uczonego malowało się niezmierne zdziwienie i radość.

— Dawaj dokumenty! — szepnął i porwawszy papiery, usiadł przy biurku.

— Johnie! wszystkie dotychczasowe teorje obalone. Trzeba natychmiast jechać do Tybetu!

— Zlituj się, Maxie! Jakże pojedziesz bez żadnego przygotowania, nie uprzedziwszy nikogo?

Ale Max stał już przy telefonie i zajęty był planem wyprawy.

— Halo! Sprawa niecierpiąca zwłoki! Proszę poprosić ministra Leanda... Śpi? — Obudzić natychmiast! Mówi Max Brown. Czekam przy aparacie! — Johnie! — zwrócił się Max do towarzysza — czy pojechałbyś ze mną?

John milczał. W Liverpool czekała na niego żona i maleńki, ukochany synek Billy.

— Pojadę! — odparł po chwili. — Masz słuszność, Maxie, że każda minuta zaważyć może na szali: my — albo inni.

— All right! Halo! Jestem! — widać minister przyszedł do telefonu, bo Max mówił pełen zapału — Panie ministrze! Nie mamy sekundy do stracenia! Otrzymałem w tej chwili wiadomość z Pekinu o nadzwyczajnych odkryciach w świątyni Buddy nad Tian-szan'em w szczepie Tocharyjskim. Problem ludów indoeuropejskich. Pan minister rozumie... Lękam się, że nie powinienem nawet tych rzeczy mówić przez telefon... Ale czas nagli... Halo! Tak... Więc prosto możemy iść na lotnisko... All right! Dziękuję! Pogotowie lotnicze pojedzie z nami? Dziękuję! Tak, mam towarzysza... John Haartman... Good bye!

Max odłożył słuchawkę i zwrócił się do Johna.

— Jedziemy zaraz! Przygotuj potrzebne papiery, mapy, przyrządy. Ja wybiorę książki.

Po chwili mała, podręczna walizka wypakowana była po brzegi. Max zgasił światło i wyszedł z towarzyszem na podwórze, migając elektryczną lampką kieszonkową dla lepszego rozpoznania drogi.

Przy bramie czekał stróż obudzony jeszcze niedawno przez Johna, więc rzuciwszy kilka słów wyjaśnień staremu Müllerowi, wyszli obaj uczeni na ulicę miasta.

Właśnie przejeżdżał koło nich pusty samochód, a zaspany szofer zauważywszy przez zmrużone oczy znak sobie dany, przerwał swoją leniwą jazdę.

— Lotnisko! — rzucił Max.

Ale John zawołał:

— Czekaj, Maxie! naprzód poczta! nadam depeszę do domu!

Warknął motor, a chłodny prąd powietrza uderzył o twarze jadących. Milczeli. Jeden myślał o wielkich odkryciach, które miały sławą okryć jego imię, a tem samem Anglji dać palmę pierwszeństwa — drugi uleciał myślą do jasno oświetlonego saloniku w Liverpool, gdzie czekać na niego miała przez całą noc jego ukochana żona, a może i Billy, śniący o ojcu w białem łóżeczku.

Poczta — lotnisko — warknięcie motoru — silne kołysanie — i dwaj uczeni jadą do celu z szybkością 300 klm. na godzinę.

Dojmujące zimno przedzierało się do kajuty, zaopatrzonej zresztą we wszystko wedle najnowszych wymagań estetyki i wygody. Aeroplan pogotowia lotniczego był wyekwipowany na 24 godzin jazdy dla dwóch pasażerów zupełnie do podróży nie przygotowanych. Był więc pled ciepły do okrycia nóg, butelka wina dla rozgrzewki, drobne przekąski, paczka pa-

pierosów, a nawet najnowszy numer Times'a.

Ale Max tak był pochłonięty swemi myślami, że nawet nie zwrócił uwagi na to.

— Kiedy będziemy w Pekinie? — zapytał.

— Około 21 godziny — odparł John — i to w najlepszym razie.

— Czy nie da się przyspieszyć lotu?

— Nie. Rozmawiałem z kierownikiem na lotnisku. Bierzemy największą szybkość, jaka tylko być może przy jeździe na taką odległość. Nie możemy przecież narażać się na to, że wszycy trzej połamiemy kości...

Było jeszcze zupełnie ciemno, tylko przez szybki kajuty migotały promienie gwiazd, przeczuwających rychłe wzejście niszczycielskiego słońca.

— Właściwie, Maxie — ozwał się John flegmatycznie — mógłbyś mnie wreszcie objaśnić, co zawierają dokumenta przeze mnie przywiezione.

Max ożywił się.

— Problem ludów indoeuropejskich! — zawołał. — Nowe światło na lokalizację szczepu pierwotnego! Odkrycie grupy Tocharów nad Tian-szan'em obaliło już dawno teorje indogermanistów, chcących zlokalizować kolebkę ludów aryjskich w dzisiejszych Niemczech. Nonsens! Jakżeby samotna grupa Tocharów przedarła się przez stepy czarnomorskie, przez niż rosyjski i wyżyny środkowo-azjatyckie, aby w samotnem ustroniu tybetańskiem ulokować swe zabytki z odłamu centum?

— Czy znaleziono jednak jakieś pozytywne dowody?

— Zlituj się, Johnie! przecież wystarczy mieć centimetr sześcienny inteligencji, żeby zobaczyć całą niedorzeczność teorji skrajnych indogermanistów! Przecież Tocharowie nie wsiedli w aeroplany berlińskie i nie zawieźli nietkniętego swego djalektu do upalnych stref azjatyckich.

— Ależ, Maxie! — przecież wiesz, że nie noszę naparstka zamiast kapelusza i zwolennikiem tej teorji nigdy nie byłem.

— Więc o cóż ci chodzi?

— Chciałbym wiedzieć nareszcie, co za dokumenty wyciągnęły cię z twego gabinetu w British Museum i kazały ci wsiąść na tę turkoczącą maszynę.

— No więc właśnie! Dokument znaleziony w świątyni Buddy nad Tian-szan'em zawiera słowa jakiegoś wodza Tocharów, skierowane do podwładnych mu wojowników. Przysłano mi tylko odbitkę z kliszy odfotografowanego kamienia, który jest wmurowany w ścianę świątyni. Trzeba zbadać wszystko na miejscu. Problem ludów indoeuropejskich może być przez to rozwiązany.

Max wyciągnął opieczętowaną kopertę i oddawszy ją Johnowi zatopił się w myślach.

Problem ludów indoeuropejskich... Skąd się wziął ten lud jasnowłosy, o błękitnych oczach i jasnej cerze, ten lud, któremu było przeznaczone objąć władztwo nad światem i z serca gorącego wydać miłość ku prawdzie, ku pięknu i naturze?... Wychował go Djêus gromowładny i jak ojciec najczulszy prowadził go po tajnikach ziemi... Nauczył go dosiadać rącze wierzchowce i przyrodę podbijać pod władzę swoją, nauczył go w ogniu szukać ratunku podczas mroźnych, śnieżystych nocy, a po latach życia i trudu — powierzyć matceziemi skołatane ciało swoje...

...Skąd i kiedy wyruszył ten lud na podbój świata? Czemu tak późno, że już inni synowie ludzcy wyprzedzili go po całej ziemi i skrwawioną dłonią wydzierać musiał piędź za piędzią? Kiedy nastąpiło rozdwojenie w łonie synów jednego prarodzica i samowolne plemiona aryjskie wyruszyły na podbój wschodu, kiedy Indowie narzucili swą władzę Drawidom, a dzicy Chettyci poszli krwią znaczyć swe szlaki wśród wszechwładnych Semitów Małej Azji?...

— Maxie! — przerwał ciszę John — te dokumenta wydają się wprost nieprawdopodobne! Jest to proste oszukaństwo...

Max ściągnął brwi.

— Nie wolno wydawać czczych sądów! Jedziemy po to, by rzecz zbadać. Czy sądzisz, że Champollion, Grotefend i Rawlinson nie spotykali się z drwinami, a jednak dzięki nim możemy dziś czytać hieroglify i kliny? Czy genjalne odkrycie

Wincklera w Boghazkiöi nie dało nam bibljoteki chettyckiej, a tem samem dokumentów sięgających czwartego tysiąclecia? Czemu nie mamy iść drogą uczonych wielkiej miary i szerokiego rozmachu?

John umilkł. Nie chciał robić przykrości Maxowi, ale sam nie miał przekonania do tej wyprawy. Max miał słuszność, że zabytki małoazjatyckie sięgają czwartego tysiąclecia, ale były to dokumenty tubylczych Sumerów i Elamitów, plemion osiadłych. A skądże plemiona koczownicze, indogermańskie, miały wytworzyć swoje rodzime zabytki kulturalne? Wydawało mu się to podobnym nonsensem, jak teorja skrajnych indogermanistów. Roześmiał się więc na myśl, że Max tak prostej rzeczy pojąć nie może, a jednak jego inteligencja nie mieści się w 1 cm^3 mózgu.

— Cóż cię tak wesoło usposobiło, Johnie? — spytał Max, podnosząc głowę zponad papierów.

— Filozofja doprowadza często człowieka do uśmiechu — odparł John. — Bo widzisz, każdy ma przed sobą nieskończone horyzonty i zdaje mu się, że widzi najlepiej i najwięcej, tymczasem zapomina, że za nim i pod nim są jeszcze całe światy, których on nie widzi, ale które ktoś inny może dostrzega, stojąc na innym punkcie obserwacyjnym. Dlatego często zdania są różne, a przecież nie błędne.

— Daj spokój z filozofją, Johnie! Widzę, że jesteś zmęczony po nieprzespanej nocy.

— Chyba po nieprzespanych nocach...

— No, jeśli tak, to nie dziwię się, że ci humor nie dopisuje, a filozofja i pesymizm binokle przyćmiewa.

— Nie przeczę, że po kieliszku wina dam się ukołysać do snu naszej furkoczącej maszynie.

Przezorność lotniczego pogotowia okazała się bardzo przewidująca.

Po kilku chwilach twarz Johna wyraża niezamącony spokój a usta uśmiechały się lekko, jakby wielki docent słuchał szczebiotu maleńkiego Billy lub widział we śnie, jak wszyscy skrajni indegermaniści mają naparstki na głowie, zamiast dostojnych kapeluszy.

* * *

Już dawno światło słoneczne rozjaśniło kajutę obu uczonych, gdy John zakończył swój spoczynek, a Max podniósł głowę z nad mapy azjatyckiej.

— Good norming — zawołał radośnie John — Jakie pogodne niebo!

— Pyszny jesteś! Przecież lecimy nad chmurami! Jeszcze zmokniemy w Pekinie na lotnisku, zobaczysz!

— Ciekawym, coby taki pierwotny indogermańczyk powiedział, gdyby naraz obudził się pewnego pięknego poranku w aeroplanie, tak jak ja w tej chwili?

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Max — gdyby był tutaj z nami, mielibyśmy wszystkie problemy rozwiązane.

— Szkoda, że ci mędrzy fizycy nie wynaleźli maszyny, którąby można jeździć po przeszłości i przyszłości.

— Gdybym był fizykiem, możebym wymyślił ale że jestem starożytnikiem i trochę filologiem, więc mogę ją tylko nazwać.

— Gdybym obierał drugi raz mój zawód, poszedłbym na fizykę, miałbym chleb bielszy...

— Ale kości połamane — wtrącił Max — Niech twój Billy pójdzie zamiast ciebie!

John zamyślił się. Umilkli. Max stanął przy oknie kajuty i gwiżdżąc bębnił po szybie, a John zabrał się do książek.

Mijała godzina za godziną. Zimno było tak wielkie, że kłęby pary widać było przy każdym oddechu a na szybach ukazały się kwiatki ze szronu.

Jakże rzadko zadowolonym jest człowiek z tego położenia w którem, się znajduje! Zawsze pragnie być w położeniu swego bliźniego, z którego tamten znowu radby się wydobyć. *J. W. Goethe.*

— Przejeżdżamy Tiao-szan — mruknął Max — gdybyśmy się byli tak wybrali ponad Himalaje, to krew zamarzłaby nam w żyłach...

Rzeczywiście, że w górnych strefach nie było czuć budzącej się wszędzie wiosny.

— Wiesz co, Maxie — zagadnął John — szkoda, że nie wylądujemy Kaszgarze, bylibyśmy prędzej na miejscu...

(C. d. n.). *A. Crucsy.*

HRABIA LEW TOŁSTOJ.

Hrabia Lew Tołstoj, którego setną rocznicę urodzin obecnie Rosja obchodzi przyszedł na świat 28 sierpnia (9 września) 1828 r. w Jasnej Polanie, gub. tulskiej. Pochodził z rodziny arystokratycznej i tę warstwę społeczną poznał dobrze, ale nie zżył się z nią.

Wcześnie straciwszy rodziców, wychowywał się u krewnych, którzy nie przymuszali go do nauki szkolnej, do której nie czuł pociągu. Wolał przysłuchiwać się rozmowom starszych i kierować myśl ku zagadnieniom religijnym, filozoficznym i moralnym.

Z tych rozmyślań wynikły później jego próby organizowania gospodarstwa na nowych podstawach społecznych. Brak odpowiednich wiadomości stał mu zrazu na przeszkodzie. Wyjechał więc zagranicę, dużo się uczył, dużo obserwował. Wyniki studjów starał się znów stosować w pracy społecznej i gospodarczej u siebie, we własnym majątku i szerzyć swe zapatrywania w szeregu prac pisarskich ujmowanych przeważnie w formie poważnych powieści. — Działalność społeczna nie powiodła mu się — zyskała mu miano wielkiego szlachetnego dziwaka; powieści natomiast — sławę europejską wielkiego pisarza.

Do najważniejszych dzieł jego należy „Wojna i Pokój“ i „Anna Karenina“.

Nas obchodzi specjalnie niewielka nowelka „Za co?“, w której wyraża swe sympatje dla Polaków — do których za lat młodzieńczych odnosił się wrogo.



Jan Styka Tolstoj.

ŻYCIE WYRAZÓW.

Rozmaite istnieją formy wypowiadania się psychiki ludzkiej: wyraża się ona w obrzędach i instytucjach religijnych, w urządzeniach prawnych, w formach artystycznych, w malarstwie, rzeźbie i w muzyce, która jest pokrewna językowi.

Język jest najbogatszą, a zarazem najprostszą formą, w którą się przyoblekła treść duchowa człowieka. Powstał zaś język z pragnienia i wrodzonego człowiekowi popędu do porozumiewania się wzajemnego poszczególnych jednostek. Ta wewnętrzna dążność, która stała się źródłem języka, jest jak niegdyś tak i dziś stałą, wiecznie trwającą potrzebą społeczności.

O początkach powstania języka nauka nie podaje pewników, tworzy tylko przypuszczenia, tak jak hipotetycznie też mówi o kolebce terytorjalnej języków, którą dawniejsi uczeni upatrywali gdzieś w Indjach, a dzisiejsi chcą ją widzieć w krainach północnej Europy.

Początkami języka były zdaje się pojedyńcze artykułowane postaci dźwiękowe, którym zapewne towarzyszyły gesty. Z czasem z rozwojem kultury rozwijał się język, przekształcał się i szlachetniał. Język więc żyje, czyli ulega ciągłym zmianom, a żyje tak długo, jak długo żyje naród, który się nim posługuje.

Kto mu to życie daje? — jednostka, czy społeczeństwo? — Różne pod tym względem były mniemania i nieraz zbyt jednostronnie przypisywano za wielką wagę jednemu lub drugiemu z tych czynników. Niektórzy uczeni, t. zw. indywidualiści uważali, że język jest przedewszystkiem wytworem jednostki, bo jest wyrazem myśli duszy ludzkiej, — inni upatrywali w języku środek porozumienia się wzajemnego.

W istocie oba pierwiastki odgrywają ważną rolę — bo język wyraża treść psychiczną jednostki, ale zwraca się i łączy jednostkę ze społeczeństwem. Człowiek więc każdy nadaje swe piętno psychiczne, swoje znamię odrębne mowie, która jest ekspresją jego myśli. I jak niema dwu psychik zupełnie równych, tak też niema dwu sposobów wyrażania się takich samych. Tylko jednostki zupełnie bierne, lub takie, które w innej dziedzinie dają ujście swej pracy ducha, przyjmują mowę innych w sposób bierny.

Ponieważ jednak nawet wybitne jednostki i wielcy twórcy mowy zwracają się za pośrednictwem swego języka do innych, do społeczeństwa, więc też i czynnik społeczny, czyli wzgląd na otoczenie odgrywa ważną rolę w kształtowaniu się języka.

Społeczeństwo przejmuje mowę wielkich twórców, jednostek wybitnych, zasila się nią, podnosi się ku niej. Oczywiście tylko pewna część zwrotów i sposobów wyrażania myśli wielkich pisarzy staje się trwałą własnością ogółu. O tem zaś, czy w większej lub mniejszej mierze nawiąże się żywe porozumienie między społeczeństwem a artystą — twórcą decyduje nietylko sam język, ale treść dzieła i wszystko, co wywołuje łącznik uczuciowy pomiędzy jednostką a środowiskiem. Im silniej twórca przemówi do ludzi, tem większy też zasób słów jemu właściwych stanie się własnością ogółu. Niewszystkie jednak wyrazy i zwroty przejdą w posiadanie i używanie ogólne — część ich ginie bez śladu, część przyjmuje się formalnie, traci na sile i używa się w znaczeniu wyblakłem.

Nietylko jednak twórcy wielcy, czyli jednostki wyjątkowe tworzą nowe wyrazy, tworzą je stosunki, w jakich społeczeństwo się znajduje.

Z chwilą bowiem, gdy zmianie ulegną warunki, w jakich człowiek żyje, więc forma rządu, stosunki społeczne, obyczajowe, z tą samą chwilą równolegle powstają i zaznaczają się zmiany w języku. Każdy krok w postępie kultury, każdy nowy wynalazek znaczy ślad swój w języku. Jasną bowiem jest rzeczą, że z chwilą zapoznania się z nowem pojęciem, zachodzi potrzeba nowego wyrazu — czasem

na oznaczenie czegoś nowego przejmuje się wyraz z obcego języka, czasem powstaje wyraz swojski rodzimy (np. samochód, samolot).

To samo, co jest powodem powstawania nowych wyrazów, jest też przyczyną ich śmierci i zaniku. Zmieniają się stosunki, zmienia się moda i zwyczaje, wyraz dotychczas używany przestaje być potrzebny i obumiera. Śmierć jego nie następuje nagle, jak niema nagłych zmian w warunkach, które ją spowodowały — jest stopniowe zanikanie wyrazu, używa się go coraz rzadziej, staje się niekonieczny, wreszcie przechodzi w dzieje historyczne języka, lub utrzymuje się w mowie ludu, która jest bardziej zachowawcza, lub też pojawia się niekiedy w literaturze dla oddania epoki i podkreślenia barwy czasu minionego.

W mowie zaś żywej jest przeżytkiem, czemś martwem, skostniałem. Przykładem tego zjawiska mogą być takie formy staropolskie jak Waszmość, Acan, Asan, Aśćka, Asińdźka, albo takie jak brzechwa (strzała), pawęż (tarcza), których Polak już dziś najczęściej nie rozumie bez szukania znaczeń po słownikach.

Podobnemu losowi t. j. zaginięciu ulegają nietylko wyrazy, oznaczające przedmioty mało dziś lub wcale nie używane, ale i rzeczy lub stosunki istniejące dziś jak dawniej. Zamiast starej nazwy używa się nieraz opisywania przedmiotu lub stosunków. Tak n. p. zaginęły nazwy staropolskie, oznaczające stopnie pokrewieństwa i nikt dziś nie zna „zetw", „smeszek", „dziewiny", nawet świekra i świekier wychodzą z użycia, a niektóre narzecza polskie zatraciły nazwę wnuka.

Inne znowu wyrazy, choć nie zaginęły zupełnie i nie zmieniły brzmienia, zmieniły swe znaczenie — i dość wziąć do ręki dzieła Reja lub Kochanowskiego, by przekonać się o prawdziwości tego twierdzenia (np. szczyt = dzis. tarcza, zaszczycać = bronić, występ = występek, powieść = mowa (to, co powiedziane) itd.

Są też przykłady tego zjawiska, że wyrazy nieraz rosną niejako w znaczeniu, szlachetnieją lub spadają, obniżają się. Np. dziś odstrzeliły od siebie pokrewne dwa brzmienia „dziewka" i „dziewica", choć jeszcze w XV. w. bez różnicy obu używano w znaczeniu podniosłem, n. p. o Matce Bożej.

Kilka wieków temu „Książęciem" nazywano małego księdza — tymczasem dziś „ksiądz" i „książę" to dwa pojęcia różne.

„Kobieta" dawniej czarownicę oznaczała — i wiele innych wyrazów podobnej kolei uległo.

Nieraz wyrazy giną jakby celowo, umyślnie, a zastępuje się je przez pewnego rodzaju eufemizmy. Tak n. p. unikali Słowianie właściwej nazwy pana lasów, którego Arjowie nazywali wspólnem mianem „ursus" — i, by „nie wywoływać wilka z lasu" nazwali go żartobliwem omówieniem: „ten, co miód jada" — „miedźwiedź", od XVI. w. też niedźwiedź.

Ciekawym, choć mechanicznym powodem przekształcania wyrazów są ich skróty tak ustne jak i pisemne. Szybki a niedbały sposób używania wyrazów staje się przyczyną skrótów, które się z czasem utrwalają. Pisemne skróty mechaniczne czytane dają też nowe formacje. Przykładem jest używane tak często w Polsce szlacheckiej „Imci Panie" powstałe z „Jego Miłości Panie" i w nowszych czasach Pepesowcy P. P. S. — Endecy i t. d.

Skrócona forma w mowie czy w piśmie nie wyraża też najczęściej pełnej treści wyrazu, jej znaczenie ulega również pewnego rodzaju skróceniu czyli pomniejszeniu.

— — — — — — — — — — — —

Z powyższych rozważań widać, że język żyje, przekształca się, jego cząstki obumierają, a na ich miejsce powstają nowe. Język dzięki temu jest wiernem odbiciem życia społeczeństwa. — „Po języku, jak po odsadzonych warstwach ziemi, poznasz wiek i żywot narodu; poznasz jego charakter, jego stopień oświaty, odgadniesz nawet jego przeznaczenie i jego losy przyszłe" *). On jest tłumaczem myśli narodu — i świadectwem jego żywotności.

M. Al.

*) Libelt: „O Miłości Ojczyzny".

BAJKA.

Zwiedzała przez długie miesiące
Ogrody, las, góry, brzeg mórz — —
Zdziebełkiem słóweczka gorące
Pisała na płateczkach róż.

Rysikiem złotego bursztynu
Na plaży kreśliła je wszerz,
Choć fala gąbką z seledynu
Co rana zmywała jej wiersz.

Z bławatów rosnących w pszenicy,
Wśród wiatru podmuchów i wiań,
Wiązała w wielkiej tajemnicy
Girlandy szafirowych zdań.

Wśród lasu z szpileczek sosnowych
Swe myśli układała w stos
Misternie złożony, różowy,
Wyrosły na piaskach jak wrzos.

Dziś lato odpływa w zaświaty,
Złocisty przewozi je prom,
A bajka się zbliża do chaty,
Chce znaleźć schron cichy i dom.

W wieczory, co zaczną się dłużyć,
W dnie słotne co są już tuż, tuż — —
Pragnęłaby dzieciom powtórzyć
Wierszyki te z plaży, te z róż.

Chciałaby im ufnie się zwierzyć
Z swych myśli zebranych zpod drzew —
I dusze rozewrzeć, poszerzyć
O morze, las, góry, pól wiew.

Puk, puk, puk — czy otwarte uszka?
Puk, puk, puk — czy zamknięte drzwi?
Kto tam? — Ja, bajka, wierna służka,
Przynoszę czary letnich dni.

M. Czerkawska

WYJĄTEK Z LISTU KS. WOLNIKA,
MISJONARZA W RODEZJI.

Szanowna Redakcjo!

Dziękuję nasamprzód najserdeczniej za miłą pamięć i za ciekawe pisemko, które od nowego roku regularnie, aż tu do Afryki przychodzi, oraz dziękuję za zaproszenie mnie na korespondenta, a przedewszystkiem za ofiarowanie szpalt swego pisma naszej misji. Sądzę, że od czasu do czasu powinno się coś znaleźć, coby i czytelniczki „Dziś i Jutro" mogło zainteresować i zaznajomić ze sprawami misyjnemi, które przecież należą do dzisiejszych wydarzeń, a jutro może jeszcze wyraźniej wystąpią na widowni dziejowej...



Dzieci z Chikuni. — W głębi budynek szkolny.

Narazie przesyłam kilka zdjęć z najstarszej stacji misyjnej w Chikuni (Cikuni, która przypadła nam przy podziale starej prefektury zambezkiej), dokonanych przez S. Agnieszkę ze Zgromadzenia de Notre Dame de Namur, które tam w Chikuni prowadzi szkołę od 12 lat. Byłem

tam dwa tygodnie temu z X. Biskupem Hisnley'em, Wizytatorem Apostolskim na szkoły misyjne w kolonjach angielskich i podziwiałem, jak te Siostry stosują najnowsze metody nauczania w zapadłym kącie świata, ale też jak ładnie i dobrze te czarne dzieci odpowiadają, nie bojąc się nawet tak wysokiego dygnitarza, jakim jest Biskup Wizytator, wysłany przez samego Ojca Świętego.



Szkoła szycia w Chikuni.

W lipcu wybieram się na wizytację mojej prefektury. Spodziewam się, że mi się uda zrobić kilka dobrych zdjęć i dla Waszego pisemka.

A prawda, jeszcze te pocztówki i znaczki pocztowe, które mogłyby się przydać misji. — Pocztówki — owszem, ze scenami z życia P. Jezusa, albo historji kościelnej. Znaczki zaś, o ile się dadzą spieniężyć w Polsce.

Ks. B. Wolnik T. J.

RAKIETĄ NA KSIĘŻYC.

Wielkie i coraz śmielsze są aspiracje człowieka. Marzy się jemu teraz, żeby dostać się na księżyc i na inne planety. Nie zraża się trudnościami jakie mu się nasuwają. Nie zrezygnował z tej dalekiej podróży mimo to, że najodważniejsi lotnicy wzbili się zaledwie do 12 km. ponad ziemię. Tej granicy człowiek nie może przekroczyć, gdyż wyżej powietrze jest tak rozrzedzone, że ciśnienie nasze wewnętrzne przewyższa zewnętrzne. Wskutek tego krew występuje z żył, a serce nie przetrzymuje tego. Wyżej aż do 36 km wznoszą się tylko t. zw. balony - sondy, opatrzone przyrządami mierniczemi jak termografy, barografy i inne. Osłona tych balonów posiada zależnie od wysokości, do której się mają wznieść, ściśle oznaczoną siłę napięcia. W oznaczonym czasie, pod wpływem prężności gazu zamkniętego, osłona zostaje rozerwana, a balon wraz z przyrządami spada. Przyrządy są tak umocowane, że spadając, nie ulegają zniszczeniu. Nic dziwnego, że nas ta podróż na księżyc tak nęci, wszak odległość jego od nas nie jest wcale taka nieskończona, bo 384000 km. Czyż nasza technika nie może się pokusić o zdobycie tej przestrzeni? Tę podróż pragniemy odbyć za pomocą rakiet.

Rakietę znamy wszyscy, zwłaszcza rakietę świetlną. Któż nie widział podczas wojny, w zimowe wieczory lub wśród głuchej, bezgwiezdnej nocy nagłego rozdarcia gęstej ciemności przez smugi światła, które rozświecały całe szmaty ziemi. Zdaje się, że rakiety były już znane 3000 lat przed Chr. Z r. 900 przed Chr. mamy pisemny dokument o ich istnieniu. Potem poszła ona jakoby w zapomnienie. W późniejszych czasach Newton zwrócił uwagę na możliwość użycia rakiet celem wzniesienia się w powietrze. W XVIII w. książę hinduski Haidar Ali użył rakiet do podpalania domostw. W dalszych wojnach w XIX wieku rakieta znajdowała

to samo zastosowanie. Po roku 1872 ustępuje jednakże dalekonośnym i celnym armatom. Od niedawna dopiero znamy rakietę ratunkową dla okrętów, wiele już osób zawdzięcza jej swe życie. Wyrzuca się ją z podwyższenia w stronę ginącego okrętu, zabiera ona wtedy z sobą linę ratunkową. Już w r. 1906 na zjeździe przyrodników wygłosił R. Baner referat o rakiecie gradowej. Prelegent sądził, że zapomocą tej rakiety będziemy w możności rozpędzić chmury gradowe, zabezpieczając tem samem nasze pola od klęsk.

W ostatnich czasach słyszymy coraz częściej o rakiecie do astronautyki, czyli do żeglugi wśród gwiezdnych przestrzeni. Mechanizm jej opiera się na zasadzie III. prawa mechaniki Newtona, które głosi, że każdemu działaniu odpowiada przeciwdziałanie równe co do wielkości, a skierowane wprost w przeciwnym kierunku. Działanie czyli akcja polega w danym wypadku na wyładowaniu się gazów w pewnym kierunku, przeto cała rakieta wyrzuconą zostaje w przeciwną stronę. Odpowiednie urządzenie umożliwia w oznaczonej wysokości dalsze wybuchy gazów, a tem samem szybkość i kierunek rakiety reguluje się automatycznie. Przy lądowaniu będzie można na tej samej zasadzie



akcji i reakcji obniżać szybkość. Niejeden profesor — fizyk łamie sobie nad tem głowę jakby tę rakietę zbudować, aby posiadała potrzebną ilość energji, a była przy tem lekką i odporną na przeszkody ruchu.

Rezultaty tych badań zadziwiają nas już dzisiaj. Może niezadługo usłyszymy coś bliższego o górach i dolinach księżyca i z bijącem sercem będziemy czytali o wrażeniach człowieka na księżycu.

Szczęść Boże temu, który tam na gwiazdach czy księżycach wyląduje pierwszy!

B. M

PIESZO DOOKOŁA ZIEMI.

To nie byle co! — ale czegóż się nie zrobi dla nagrody 100.000 dolarów, no, i dla sławy! 27-letni Hans Bela, Niemiec, zdecydował się obejść ziemię wciągu 8 lat, i oto już od stycznia 1924 roku wędruje, przebył już Europę, Afrykę i Amerykę południową, odwiedzając miasta przewidziane w konkursie.

W nieco mniej fantastyczny sposób odbył w roku zeszłym wędrówkę naokoło świata 15-letni Duńczyk, Pale Huld. Gdy jedno z pism kopenhaskich wezwało młodzież do odbycia w setną rocznicę urodzin Jules Verne'a podróży naokoło świata dowolnemi środkami lokomocji, wyjąwszy samolotu, dla przekonania się o ile prawdziwemi dziś są stosunki z powieści „80 dni naokoło świata", młody ten harcerz został wybrany z grona 500 kandydatów i za przeznaczoną na ten cel sumę 1000 dolarów objechał cały świat w ciągu 44 dni i 12 godzin.

W r. 1892 — u kolebki samochodów szczytem marzeń było 20 km. na godzinę, rekordy automobili wyścigowych z kwietnia r. b. osiągnęły 334 km. na godzinę. Maleńka różnica!

Ign. Mazinek

O HARCERKACH KILKA SŁÓW.



Piekarki przy pracy.

W lipcu b. r. odbył się w Rybienku nad Bugiem zlot narodowy harcerek polskich. Urządza się bowiem i zloty międzynarodowe, na które zjeżdżają się harcerki całego świata, podczas gdy zlot narodowy stanowi zebranie druchen z jednego narodu, z ewentualnym udziałem zaproszonych gości zagranicznych.

Zjazdy takie mają doniosłe znaczenie, zbliżają bowiem do siebie członkinie tej organizacji, podnoszą ducha i rozbudzają zapał, rozszerzając równocześnie horyzonty, bo wiadomo, że „co dwie głowy, to nie jedna", a setki gorących serc i pomysłowych głów — to nie byle co. Na zjeździe zawody terenoznawcze, przyrodnicze, gimnastyczne i t. d. dają też możność okazania wyników dotychczasowej pracy i są zachętą do dalszych starań. A i urządzenie świetlic, sklepików, telefonów itp. są niezłem ćwiczeniem praktycznem w życiowej zaradności.

A jeszcze dla przeglądu parę cyfr statystycznych, miłe one dla nas, bo Polska stoi wysoko pod względem ilości harcerek. Wielka Brytanja ma 433.000 harcerek, Stany Zjednoczone 162.000, Polska 18 000 dalej idzie Norwegja 6.900, Węgry, Francja, 3.160 i t. d.

Wszystkie części świata mają swoje harcerki — a w Anglji są drużyny dzieci ślepych, chromych itd... czy to nie wzruszające? Są nawet t. zw. „harcerki pocztowe" — chore zmuszone leżeć latami w łóżku, które się listownie komunikują i podtrzymują w życiu organizacji.



Warsztat stolarski jednej z drużyn na zlocie w Świdrze.

BYŁOBY TAK!...

Po południu liczne towarzystwo dążyło w kierunku folwarku, gdzie w cieniu drzew na wzgórzu czekał już podwieczorek wysłany końmi. Droga była daleka, bo woda zerwała kładkę na rzece i trzeba było sporo nadłożyć, by przejść przez most przy folwarku. Pan Tolek doradzał iść na przełaj.

— Zbadałem teren, znalazłem wymarzone przejście. Rzeczka między brzózką a kamieniem jest wąska. Dzieci przeniosę, panie przeprawię, ręczę, że będzie idealnie. Spacer przez łąki najmilszy, a przejście pewne.

Mówił przekonywująco, dowodził ile się zyska na czasie — uwierzono mu. Mamusia z naszą trójką, Fräulein Elza i ciocia Zosia z dziećmi podążyła z p. Tolkiem na przełaj, starsze panie i panowie poszli drogą przez most.

Nasz Cicerone miał rację. Rzeczka była dosyć wąska, wystający kamień pozwalał stanąć bezpiecznie na samym brzegu. P. Tolek, wyćwiczony gimnastyk, przeskoczył na drugi brzeg, wrócił i kolejno przeniósł nas dzieci.

— Niech żyje chluba uniwersytetu krakowskiego — zawołała zawsze wesoła ciocia Zosia.

Młody gentelman uśmiechnął się z zadowoleniem.

Przyszła kolej na panie. Pan Tolek przegiął brzózkę tak, że jej wierzchołek położył się na drugim brzegu, podał rękę cioci Zosi, nogą przytrzymał drzewko. Ciocia przebiegła lekko po przegiętej brzózce, za nią przeprawiła się Fräu-lein Elza. Gorzej udało się mamusi, bo młode drzewko już było nadwyrężone. Byłaby upadła na brzegu, gbyby nie pomoc cioci Zosi.

— Świetny pomysł — wołała ciocia. Ale pan Tolek był niezadowolony.

— Pani się potknęła, bardzo panią przepraszam, ale zaręczam, że...

— Panie Tolku, nic mi się nie stało! Wdzięczna jestem za przeprawę!

— Ale to, proszę pani, ja nie tak chciałem. Pani mię nie słuchała, no i stało się! Przepraszam najmocniej, ale naprawdę mogło być inaczej!

— No tak, mogłam wpaść w wodę, ale stoję na brzegu. Wszystko było idealnie! Idziemy dalej.

— Ja panią bardzo proszę zaczekać tu chwilę. Pokażę zaraz jakby to wyglądało, gdyby pani zastosowała się do mojej rady. Nie pomogły namowy i prośby; trzeba było ulec.

P. Tolek wrócił na drugą stronę, ciocia Zosia przegięła brzózkę, wyciągnęła rękę. Uprzejmy młodzieniec wyjaśniał:

— Jabym pani przechylił brzózkę tak...



Pan Tolek usiadł po szyję w wodzie.

i podałbym rękę tak... pani skoczyłaby... i byłoby tak!

Skoczył... trzask... plusk... pan Tolek usiadł po szyję w wodzie. Głośny wybuch śmiechu. Nadchodziła reszta towarzystwa. Pan Tolek spojrzał przerażonym wzrokiem i cicho poprosił:

— Może państwo będą łaskawi odejść.....

M. Zł.

Z POLSKI I ZE ŚWIATA.

Marszałek Piłsudski ustąpił w końcu czerwca b. r. ze stanowiska prezesa ministrów, pozostając nadal ministrem spraw wojskowych. Premjerem został dotychczasowy wicepremjer, Kazimierz Bartel. Pociągnęło to dalsze zmiany w składzie rządu: ministrem oświaty na miejsce p. Dobruckiego został p. Kazimierz Świtalski, a ministrem kolei w miejsce p. Romockiego p. Kühn.

J. Magn. Rektor Uniwersytetu warszawskiego, ks. dr. Antoni Szlagowski został dn. 9 lipca b. r. mianowany przez Ojca św. biskupem sufraganem warszawskim.

4-go sierpnia b. r. nastąpiła wymiana not między Gdańskiem a Polską, regulująca sprawę t. zw. Westerplatte, t. j. części portu, gdzie Polska wyładowywała przychodzącą dla niej amunicję. W czasie gdy amunicji nie będzie, Rada Portu może odtąd używać Westerplatte dla swych celów handlowych. Polskie okręty będą mogły przybijać do portu gdańskiego. Uregulowano też sprawę taryf handlowych. Sprawy te załatwiono bez udziału Ligi Narodów.

Z okazji 10-lecia przybycia Ojca św. Piusa XI. jako Wizytatora Apostolskiego do Polski w 1918 r. ks. Biskup Przeździecki ofiarował Ocju św. artystycznie wykonanego srebrnego orła polskiego ze złotem sercem, w którem umieszczono grudki ziemi z Drelowa i Protulina na Chełmszczyźnie, oraz koronę cierniową wraz z grudkami ziemi podlaskiej, w bogatej oprawie pergaminowej. Wręczając te dary na prywatnej audjencji, ks. Biskup na prośbę djecezjan swych oświadczył, że oni i dziś są gotowi, jak ongiś ich ojcowie i dziadowie przelać krew za wiarę św. Ojciec św. który osobiście zwiedzał wyżej wymienione miejscowości, był darami temi głęboko wzruszony.

W Belgji utworzyła się **parlamentarna grupa przyjaciół Polski,** która zacieśniać będzie związek pomiędzy parlamentami polskimi i belgijskimi i przyczyniać się do zbliżania się obu narodów.

Na tegorocznych igrzyskach olimpijskich w Amsterdamie polska trzykrotnie się odznaczyła. Pani Konopacka w rzucie dyskiem, a p. Wierzyński w dziale poezji otrzymali pierwsze miejsca, p. Skoczylas za akwarele przedstawiające dwóch łuczników: Djanę i św. Huberta, trzecie miejsce. W kongresie malarskim brało udział 14 państw z 388 eksponatami.

W Meksyku zamordowano nowego pre-

zydenta, **Obregona.** Posądzono o zbrodnię tą katolików, obecnie okazuje się, że sprawcami jej byli ludzie z najbliższego otoczenia Callesa.

Dn. 30. VII. b. r. wyjechało **7 misjonarek polskich** (6 SS. Urszulanek i p. J. Stermecka dr. medycyny) do Charbina w Chinach. Po dziewięciu dniach podróży przez Bolszewię i Mandżurję dojechały szczęśliwie na nową placówkę misyjną.

Według rozporządzenia władz sowieckich w znanej cerkwi Aleksandra Newskiego urządzony ma być kinematograf.

Sowiety ukraińskie prowadzą również ożywioną akcję przeciw kościołom. Z Charkowa donoszą, że centralny komitet wychowawczy USSR zarządził zamknięcie całego szeregu cerkwi, kościołów i synagog w okręgach kijowskim i mikołajewskim. W budynkach tych po większej części mają być urządzone kinematografy.

Na wybrzeżu afrykańskiem w Acera zmarł wysoko w kołach lekarskich ceniony doktór, **Hideyo Naguchi** japończyk. Znany on był ze swych badań bakterologicznych nad trachomą, żółtą febrą, paraliżem dziecięcym i wścieklizną.

Będąc profesorem w Instytucie Carnegiego i Rockefellera oddał ważne usługi przy zwalczaniu żółtej febry w Stanach Zjednoczonych. Dla dalszych badań nad bakterjami tej choroby wyjechał do Afryki i tam się zaraził. Mimo choroby prowadził dalej badania, używając do nich własnej, już zarażonej krwi. Przeszczepiał swą krew małpom, które po krótkiej chorobie umierały, i badał wciąż bakterje żółtej febry. Wyczerpany chorobą, męczennik wiedzy, zmarły Dr. Naguchi przez koła fachowe stawiany był na równi z Pasteurem i Miecznikowem. Odznaczony został przez ceserza japońskiego, duńskiego i hiszpańskiego oraz szereg instytucyj naukowych w Europie i Ameryce.

Największą na świecie książką jest biblja tybetańska, Tandszur czyli słowo Buddy. Księga ta składa się ze 108 tomów, z których każdy liczy po 10000 kart. Każdy tom waży 4 kg. Wysokość każdego tomu wynosi 58 cm. a szerokość 20 cm. Poza tą biblją jest jeszcze drugie wydanie o mniejszej objętości, liczące 225 tomów z komentarzami do nauki Buddy.

W Europie są trzy egzemplarze Tandszura, z których dwa są w Petersburgu, a jeden w Londynie.

Pakt Kelloga, przeciw wojnie podpisać mają: Stany Zjed. Ameryki, Francja, Anglja, Niemcy, Włochy, Japonja, Polska, Czechosłowacja, Szwecja. Podpisujące państwa obowiązują się nie prowadzić wojny zaczepnej. W odpornej napadniętemu pomagać mają państwa, które pakt ten podpisały.

Król Egiptu, Achmed Fuad, rozwiązał parlament na przeciąg lat trzech. Dopiero po upływie tego czasu zapadnie uchwała co do nowych wyborów.

Wszechświatowy zjazd śpiewaków w Wiedniu, jaki odbył się w lipcu b. r. był uroczystą manifestacją zwolenników połączenia Austrji i Niemiec w jedno państwo. Prezydent parlamentu Rzeszy niemieckiej Löbe w mowie swej podkreślił, że prędzej czy później do połączenia tego dojdzie.

Katolicka Międzynarodówka Robotników została zawiązana w pierwszej połowie lipca b. r. na kogresie katol. stowarzyszeń robotniczych w Kolonji. Siedzibą nowego Związku jest Utrecht w Holandji. Do zadań związku należy utrzymanie stałego kontaktu i pośrednictwa między narodowemi, katolickiemi organizacjami stanowemi robotników, popieranie jednolitej koncepcji katolickich organizacyj stanowych, rozpowszechnianie katolickich poglądów na prawa i obowiązki robotników, utrzymanie międzynarodowego biura, które będzie zakładało katolickie organizacje robotnicze, w tych krajach, gdzie one jeszcze nie istnieją.

Wszechświatowa wystawa rysunków w Pradze, została otwarta dnia 29 VII. b. r., a dnia następnego — Międzynarodowy Kongres Rysunkowy. Zjechało się około 3000 osób, w tem najwięcej Anglików (40%). Gmach wystawy

składał się z sali centralnej i dwóch bocznych pawilonów, z których jeden zajęty był niemal wyłącznie przez rysunki ze szkół czeskich (szk. powsz., wydziałowe przemysłowe, Akademja Ukraińska, szkoły niemieckie na terenie Czechsł. i t. p.) W drugim pawilonie miały wyznaczone dla siebie miejsce inne państwa, a więc St. Zjedn., Kanada, Japonja, Anglja, Estonja, Danja, Niemcy, Francja, Polska i t. d. Obrazy wykonane były w różnych technikach: ołówek, węgiel, pastela, akwarela, farba olejna, piórko. Szkoła Drezdeńska wystawiła próby różnorodnego pisma, a poszczególne firmy reklamowały swoje wyroby, z których najpokaźniej przedstawiła się firma Hardmuth, dostarczająca całemu światu ołówków.

W sąsiednim budynku odbywały się konferencje kongresu, na którym każda narodowość zabierała głos przez swego przedstawiciela. P. H. Cieśla (Lwów) wygłosił referat p. t. „Sztuka w szkole jako czynnik zbliżający narody", referat swój ilustrował obrazami Grottgera. Na szczególną wzmiankę zasługuje referat prof. Rainera p. t. „Muzykalna grafika", w którym prelegent wykazał ścisły związek między wysokością i barwą tonów, a linjami i barwami malarskiemi, wskutek czego do kompozycji muzycznych można zawsze dostosować odpowiednią ilustrację. W czasie swego referatu wygrywał prof. Rainer na fortepianie poszczególne figury geometryczne, potem formy bardziej skomplikowane jak np. kościół gotycki i pokazywał rysunki swych uczniów. Tą metodą prowadzone są lekcje rysunków w Ameryce i niektórych szkołach niemieckich.



Ze zbiorów K. Klęskówny. Biały haft ludowy z Wielkopolski.

WŚRÓD KSIĄŻEK.

Tadeusz Sinko: „Od Olimpu do Olimpji". (Książnica Atlas — Lwów 1928).—Kto pragnie poznać ziemię helleńską i polskiem okiem podziwiać jej bogactwa — niech idzie krok w krok za naszym polskim przewodnikiem. Autor szerokim umysłem ogarnął Grecję z jej przeszłością i współczesnością, z cichą mową ruin i pamiątek, w słonecznym blasku budzącej się wiosny. Cały szereg cytat z autorów starożytnych i nowożytnych rzuca światło na to, czem był ten kraj dla rozwoju kul-

tury, począwszy od świata antycznego, aż po romantyzm i filhellenizm dzisiejszy. Na to, by nadążyć za przewodnikiem, trzeba mieć jednak już poprzednio zdybyte wiadomości z zakresu mitologji i literatury greckiej, inaczej nawet liczne ilustracje i mapy, w które obficie zaopatrzona jest książka, nie uchronią śmiałka od zagubienia się w szeregu nazw i epizodów. Trzeba umieć również zająć nieraz stanowisko krytyczne wobec wysuwanych analogij między fikcyjnemi bóstwami starożytności, a historycznemi postaciami chrystjanizmu. Poza tem wpatrujmy się w piękno duszy greckiej, przejawiające się w jej dziełach i ukochajmy i poznajmy tę ziemię helleńską, rozciągającą się „od Olimpu do Olimpji".

Michalina Mossoczowa: „Za tysiąc lat" — powieść fantastyczna. Warszawa — Gebethner i Wolff. Bliższe objaśnienie tytułu brzmi: „Z marzeń o przyszłości młodego idealisty". Tak, o przyszłości promiennej ukochanej Ojczyzny, o przyszłości wymarzonej przez naszych wieszczów. Żyjemy razem ze „śpiącym człowiekiem", Stefanem Tarłowskim, w XXX w. przeżywamy waz z nim czasy miłego odprężenia nerwów po obecnych pesymistycznie nastrojonych latach. Stosunki etyczne, polityczne, ekonomiczne, kulturalne zajmują wyżyny, na które wprowadziła je tysiącletnia wytrwała, wytężona praca. Ludzkość, a na jej tle Polska jest moralnie przekształcona, dąży do Boga. Najwyższe urzędy zdrowia, pracy i gospoda stwa czuwają nad dobrobytem moralnym i materjalnym całości i regulują życie każdej jednostki. Kościół tylko jest niezmieniony. Te same władze i cele, te same mury katedry wawelskiej, ta sama w niej kropielnica, ta sama kojąca modlitwa duszy ludzkiej, która ją przekształca, uszlachetnia i dźwiga. Dobrze jest w Polsce, bo szczęście jest w rodzinie, (a „jaka rodzina taki naród"), bo ludzkość idzie do Boga. Ale grozi dotąd wróg narodowi naszemu od 1000 lat w istniejącym związku — hakatystów, który jednakże został zdemaskowany przez Stefana i zniesiony przez Wysoki Urząd Bezpieczeństwa. Przedstawicieli związku skazano na najwyższą karę: „wygnanie z ojczyzny i pracę w podziemiach", aż do chwili poprawy.

Z upadkiem związku hakatystów znikła zapora dzieląca Niemcy od braterstwa ludów. Ta śliczna książka, tchnąca szczerą miłością Ojczyzny nadaje się doskonale dla uczniów i uczenic klasy III-ciej, lecz z przyjemnością przeczyta ją również i dorosły człowiek.

Ks. Paulin Gilotaux: „Anioł Karmelu". Księgarnia „Kroniki Rodzinnej" w Warszawie. Jest to z wielką przenikliwością napisane studjum o życiu i znaczeniu dla współczesności św. Teresy od Dzieciątka Jezus. Na studjum to złożyły się rozdziały następujące: I. Życie św. Teresy. — II. Zalety przyrodzone. — III. Myśl przewodnia życia. — IV. Cnoty zakonne. — V. Dziecięctwo duchowne. — VI. Cnota miłości. VII. Miłość i cierpienie. — VIII. Duch modlitwy. — IX. Łaski nadzwyczajne w życiu. — X. Deszcz różany. — XI. Zakończenie. W obszernym dodatku podane zostały szczegółowe opisy beatyfikacji i uroczystości kanonizacji Małej Świętej w Bazylice watykańskiej oraz specjalny rozdział o czci św. Teresy w Polsce.

Wszystko to razem tworzy wysoce wartościową całość zarówno pod względem wewnętrznym, jak i sympatycznej szaty zewnętrznej. Przekładu umiejętnie i ze znajomością przedmiotu dokonał p. Zygmunt Rieff, artystyczną okładkę projektowała p. H. Maszyńska.

Leon Rygier: „Starzec i kwitnące drzewa" — bajka japońska, po polsku wierszem ułożona. Nakładem Ski akc. Polsk. Składnica pomocy szkolnych Warszawa Nowy Swiat 33 — 1922.

Bajka tak pogodna, jak pogodna jest natura Japończyka. — Zawiera głęboką prawdę, że jedna i ta sama rzecz użyta w dobrej i złej intencji, przynosi dobre i złe skutki Miłość bliźniego i miłosierdzie, znajduje tu obfitą nagrodę, zazdrość i chciwość — karę.

Toni, bohater tej bajki, jest obrazem słońca wiosny kwiecistej, miłości ogarniającej świat cały; podczas gdy chciwy Kuno jest jego cieniem, jednem słowem zaprzeczeniem wszelkiego dobra. Liczne ilustracje dopełniają całości. *„Mikos"*.

OD REDAKCJI.

W nowym roku szkolnym ślemy serdeczne „Szczęść Boże!" wszystkim czytelniczkom naszym i dziś, gdy wypoczęte, pełne otuchy zabieracie się do pracy — i jutro, gdy zmęczenie, znudzenie ogarniać was może zacznie. Nie zniechęcać się! Tylko wytrwałość i łamanie przeszkód święci triumfy.

Za listy i kartki z różnych stron Polski i z poza jej granic nadsyłane serdecznie dziękuję. Widzę, że przeważnie wakacje zeszły wesoło — ale i widzę też, że w niektórych okolicach klęska suszy przybrać musiała kolosalne rozmiary — wysechł nawet widać atrament w kałamarzach i pokruszyły się ołówki... Starczyło ich na krótkie jedynie listy i pozdrowienia, a konkursowych opisów miejscowości, w których przebywałyście, opowiadań o zwyczajach i legendach ludowych z tych okolic — nadesłano tak mało, że o rozstrzyganiu konkursu niema co mówić.

Może jesień sprzyjać będzie więcej waszej chęci pisania, może chaotycznie nagromadzone wrażenia ułożą się z czasem w myśli — i zapragniecie się niemi z nami podzielić. Przesuwamy więc termin nadsyłania tych prac wakacyjnych **do dnia 25-go września** — kilka najlepszych umieścimy w **najbliższym numerze** — a jeśli dobrych prac będzie dużo, to i w następnych numerach zostawimy im nieco miejsca.

Loczku — cieszę się, żeś już przyszła do zdrowia, że tak długa choroba nie spowodowała straty roku szkolnego. Czy żądany numer Dz. i J. z dnia 1. V. 1928 już otrzymałaś?

Chochliku — wierszyk nadesłany wskazuje na wiele dobrych chęci. Ufam, że forma ich wypowiedzenia będzie coraz lepsza, więc pisuj dalej i próby swe przysyłaj.

Zosiu B. z Pomorza. Wspomnienie pośmiertne Twej koleżanki przyszło za późno do numeru poprzedniego, był już w druku, obecnie jest przedawnione, więc go nie umieszczamy.

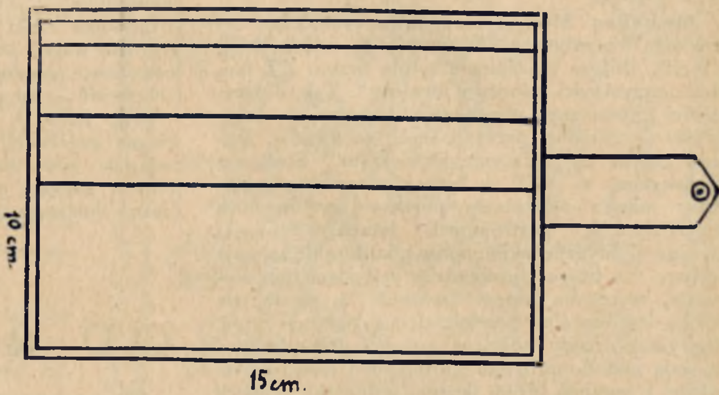
Marylko T. Między N. z dnia 15. lipca a numerem obecnym „Dziś i Jutro“ nie wychodziło.

Maryśko — nie mogę mijać się z prawdą. — Ułuż to inaczej i ładniejszy wybierz pseudonim.

Brzozo, czekam na zapowiedziany obszerny list i na opis dłuższy na konkurs.

Baśko — za miły bardzo liścik serdecznie dziękuję. Pisuj do Gawęd, do Redakcji i nadsyłaj swe próby literackie — tylko nie zrażaj się, gdy nie zaraz ujrzysz swą pracę w druku — i nie zaraz otrzymasz odpowiedź. Z listu Twego sądzę, że należysz do wytrwałych. Czy nie?

PORTFEL.



Wycinamy z ceraty 3 prostokąty o wymiarach (5×15) cm., (7×15) cm. i (9×15) cm. Obszywamy tasiemką jeden brzeg (15 cm.) każdego prostokąta. Bierzemy prostokąt ceraty o wymiarach (15×10) cm. kładziemy na nim kolejno obrębione poprzednio prostokąty (zaczynając od najwyższego), nieobrębionym brzegiem ku dołowi.

Są to przegródki portfelu.

Ściegiem na okrętkę zeszywamy razem wszystkie 4 dolne brzegi, by ułatwić późniejszą pracę. Obszywamy tasiemką portfel dokoła, uważając, by dobrze wszyć ceratę przegródek. Portfel skończony. Trzeba teraz przyszyć pasek na zapinanie. Bierzemy prostokąt z ceraty (2×5) cm. i podszewkę (tegoż koloru co tasiemka) wystającą o centimetr dokoła. Wywijamy brzegi podszewki na prawą stronę i obrębiamy drobnym ściegiem.

Gotowy pasek należy przyszyć zewnątrz portfelu. Portfel zginamy na połowę i zapinamy na zatrzask.

GAWĘDY PRZYJACIELSKIE.

1. Biruta do Sokolęcia 484. Dzieciaki swoje już pożegnałam, nie przebywam z niemi codzień, jak dawniej, w myśli odtwarzam ich postacie. Więc najpierw te trzy kobietki. Jedna to mała damulka i moja nieodstępna towarzyszka. Widziała kiedyś, że jej mamusia pudruje się przed wyjściem, więc ona też. Przyszła do mnie niemożliwie ubielona i szalenie malowana. Zawsze ma moc na szyi paciorków, korali najrozmaitszego koloru i gatunku; zawsze coś nowego w ubiorze, choć drobnostkę np. broszkę pożyczoną, pasek lub wstążkę i cały czas tem się zachwyca, dawniej głośno. Czasem nawet, gdy zupełnie o czem innem mowa, woła: prawda, proszę pani, jaki mam ładny fartuszek?! A po chwili tonem przekonywującym, który nie ulega dyskusji: Babcia mi go uszyła. Gdy raz opowiadałam o bogatej dziewczynce, ładnie ubranej, opiekującej się małym, ubogim chłopczykiem szepnęła do siebie: taką napewno miała sukienkę, jak ja. Doszłam do przekonania, że to strojenie jest u niej manją naśladowania, bo, wyobraź sobie, zauważyła na ręku u mnie zegarek, zrobiła sobie „podobny“ z rafji i nosiła go tak samo. Dużo miałam kłopotu zanim zaczęłam ją tego oduczać, specjalnie skromnie się ubierając. Druga jest typem przeciętnym; bardzo serdeczna, ogromna gaduła, ciągle śpiewa, skacze, wszystko dobrze robi, za co się kłóci, ale przytem trochę leniuszek, „przylepka“ i z tego powodu zazdrosna. Trzecia najciekawsza. Najbiedniejsza z nich a bardzo dumna, dzika, nieprzystępna, chłodna, ale komu raz zaufa, temu zawsze już wierzy. Bardzo pracowita, staranna, ogromnie dbała o porządek, zwykle milcząca. Przepada za muzyką. Gdy usłyszy zdala dźwięki jakiegokolwiek instrumentu, kamienieje w zasłuchaniu i tak na długo może pozostać obojętna na otoczenie. Po niej najwięcej się spodziewam. Ale lękam się o nią, bo dziwną ma chęć rzucenia się pod pociąg. Mieszka blisko toru kolejowego i często pędzi prosto pod lokomotywę Nie pomagają tłumaczenia. Pytam kiedyś, gdy ją siłą stamtąd sprowadziłam: Wiesz, że byłoby cię przejechało? Wiem, ale to nic — odpowiada. Objaśniam, że to ból okropny, lecz ona na ból zupełnie nieczuła.

Wreszcie mówię, że umarłaby i grabarz by ją zakopał. — To się odkopię — mówi z pewnością. Dzieci są często bardzo okrutne, a już jej długo nie mogłam oduczyć męczenia zwierząt. Dziwnie jest na ból niewrażliwa. Kiedyś np. przecięła sobie silnie szkłem palec tylko dlatego, że zabroniłam jej brać go ręką, bo się skaleczy i żeby zobaczyć jak krew płynie. A ja znowu na tym punkcie może nawet jestem przesadzona, więc doprowadziłam do tego, że „moje“ dzieci nie zrywają bez potrzeby roślin i nie męczą owadów. Rzecz szczególna, że chłopcy tak nie męczą, jak dziewczynki, które przy tem okazują dużo wyrafinowania. Gdy się nad tem specjalnie pracuje, dziewczynki robią się tkliwe, chłopcy potrafią sobie wyrozumować. Ma też swoje i śmieszne strony np. w kościele musi trzymać otwartą książeczkę do nabożeństwa, często odwrotnie i udaje, że czyta, a co chwila spogląda bowiem z pod długich rzęs, czy ludzie widzą. Rozpisałam się a nie jest to przecież charakterystyka, lecz kilka rysów zasadniczych. Chyba już o chłopcach na przyszły raz? Pamiętam, że obiecałaś mi kilka pytań, czekam więc na nie.

2. Boćwinka do Ewy C. 454. Masz słuszność Ewciu, że są wypadki kiedy milczenie jest srebrem mowa złotem, np. w szkole, jak często się zdarza, że dostanie się złą notę, może nie zato, że się nie umiało czegoś, ale dlatego że się poprostu nie umiało „wyjęzyczyć.

Boćwinka do Gwiazdki z nad modrego Dunaju. Gwiazdeczko! zaciekawia mnie twój pseudonim Dlaczegoś taki obrała?

3. Loczek do „Nieznośnej“ 491. Ja miałam przyjaciółkę, z którą razem żyłam trzy lata aż... drogi nasze się rozeszły. Obie opuściłyśmy strony rodzinne i wyjechałyśmy każde w przeciwną stronę Polski. Lecz choć taki kawał ziemi nas oddziela pamiętamy o sobie i ja nic nie straciłam z dawnej miłości ku niej. Kocham ją jak zawsze i ufam bezgranicznie.

Lubię pisać pamiętnik. Dziś, kiedy nie mogę już znaleźć takiej drugiej powierniczki w osobach koleżanek piszę pamiętnik, mówię mu wszystko co mnie boli, a jego spokój i milczenie przynosi ukojenie. Właśnie dlatego, że pamiętnik nie może przemówić, tylko słucha cierpliwie, tak dziwnie miło działa na człowieka.

CO JA BYM CHCIAŁA.

Chciałabym...
Być piękną, jako kwiaty,
Mieć oczy, jak bławaty
I włosów cudne zwoje...
Od wszystkich być kochaną
I tak przez los wybraną,
By biednym ulżyć dolę.

Chciałabym...
Zwątpionym nieść pociechę,
Pod niską schodzić strzechę,
Kędy lud prosty mieszka...
Zapalać płomyk wiary,
Wskazać wiedzy bezmiary,
Nieść szczęście jako wieszczka...

Chciałabym...
Mieć siły do wytrwania,
A serca do kochania.
Dotąd, aż zła nie skruszę,
A zato wszystko o Boże
Daj mi spokoju przestworze
I jasną duszę...

Chochlik.

SZANUJ SWE SIŁY!

Każda z was zastanawia się nieraz nad tem, jak wielkiem dobrem człowieka, jest zdrowie. Rzut oka na ludzi zdrowych, pracujących normalnie — a potem spojrzenie na zastępy cherlaków, dość jest wymowny. Pamiętajmy także, że ogólnie „mens sana in corpore sano“, bo chyba tylko wyjątkowo silny duch, nad słabościami organizmu i rozstrojami nerwów panować potrafi. Przez szanowanie roztropne swych sił od lat młodych, możemy na długie lata zachować zdolność do pracy intenzywnej. Bądźmy roztropne nie z babskiego trzęsienia się nad sobą, ale w imię dobra ludzkości.

Chcąc dopomóc w tem, zamieszczać będziemy wskazówki praktyczne a krótkie, by nietylko stateczne osoby, ale i wiatroduchy zajrzały na tę szpaltę, zastanowiły się trochę i skorzystały z doświadczenia starszych.

OCZY.

Oko jest narządem bardzo subtelnym i wrażliwym, zepsuć je łatwo, a naprawić trudno; pamiętajmy za młodu, że oczy mają nam wystarczyć do pracy na całe życie!

Należy strzec oko od kurzu i zawartych w nim obficie bakteryj; kurz działając mechanicznie, może sprowadzić stan zapalny spojówki. Uważać też trzeba, by nie trzeć oczu rękoma, zwłaszcza brudnemi (ileż zarażeń jaglicą bywa tą właśnie drogą). Dla każdego dobrem jest przemywać oczy parę razy dziennie kroplami cynkowemi (ćwierćprocentowy roztwór) lub roztworem kwasu borowego w celu dezynfekcji. Krople cynkowe dezynfekują silniej, przypalają, działając szczypiąco na spojówkę. Oczu nie należy zakraplać tuż przed spaniem, ponieważ zakroplenie powoduje wydzielanie obfitsze śluzu, a przez to zalepienie oka. Zakrapiać trzeba parę godzin przed zaśnięciem.

Uważajmy także, by nie wychylać się w czasie jazdy z okien wagonu, bo wpadnięcie do oka rozżarzonego węgielka i t. p., może być niebezpiecznem.

Ważnem bardzo jest oszczędzanie wzroku przy pracy! A więc trzymać książkę tak, by oko nie musiało się wytężać — ani za blisko, ani za daleko; zbytnie nachylanie się nad pracą, też nie jest dobre. Przy pisaniu, światło powinno

padać z lewej strony. Bardzo szkodliwem jest dla oczu czytanie w pozycji leżącej i nastawienie oczu anormalne, specjalne padanie promieni świetlnych, zwłaszcza przy świetle sztucznem, nadmierne wytężenie oka prowadzi tu łatwo do stanów zapalnych. Szkodzi także bardzo patrzenie na słońce, na śnieg w słońcu, na „zajączki", czytanie w słońcu i t. d. Przy zbyt jasnych lampach dobre są abażury, zwłaszcza łagodne, zielone. Przy kąpielach słonecznych, zakryjmy oczy i głowę, chroniąc je od przekrwienia. Przy najnormalniejszem nawet świetle i pozycji, występuje jednak po pewnym czasie, zmęczenie oczu, ratujmy się wtedy nie lekarstwami, bo to nie zawsze pewne, ale należy zamknąć oczy na parę minut, dając im przez to spoczynek. Przekrwienie oczu prócz zmęczenia, może być spowodowane niewyspaniem — tu sama przyczyna złego wskazuje, gdzie środka zaradczego szukać. W starszym wieku, częstszem jest przekrwienie z powodu artretyzmu itd.

Nieraz powodem cierpień, są źle dobrane okulary — idźmy wtedy do okulisty. Ogólna rada: jak najmniej robić prób z oczami samemu, a więcej chodzić do okulisty, który wskaże każdemu oku, co dla niego najlepsze.

ŁAMIGŁÓWKI.

SZARADA (ułożył „Ktoś")

Z dziewięciu mórz
Początkowe litery weź
I wyraz nowy złóż!
Morze pierwsze, drugie, trzecie
Gdy przy Azji odnajdziecie
Wnet na zachód popłyniecie..
Piąte, czwarte, siódme, ósme — przy sobie bliziutko
(Pamiętajcie przy ósemce dać kreskę malutką!)
Szóste zastąp oceanem,
Dziewiąte morzem już raz danem
(Hen przy Azji wyszukanem).
Wszystko: święto już minione
W czerwcu było obchodzone.

ŁAMIGŁÓWKA FIZYCZNO-CHEMICZNA.

a	a	b	ć	d	e
e	e	e	e	e	
ę	h	h	k		
l	l	l			
l	ł	m			
m	n	n	n	o	
o	o	o			
o	p	r			
r	r	r	r		
r	r	t	t	t	t
u	u	y	z	z	

W podanej figurze należy litery tak przestawić, aby otrzymać 11 nazw pierwiastków chemicznych, których początkowe litery czytane z góry na dół utworzą imię i nazwisko sławnego fizyka niemieckiego.

SZARADA.

Cóż to jest? Każdy zdziwiony spoziera:
Pierwsze — zaimek, **trzecie** — litera.
Zaimkiem będzie **pierwsze i trzecie.**
Drugie to zwierzę — i wszyscy wiecie,
Że się je tępi w piwnicy, strychu.
Wszystka — zielona albo bronzowa
Wśród traw wysokich lub pni się chowa.
Biegnie z pośpiechem, żwawo, pocichu.

TREŚĆ Nr. 1.

UWAGA! Rok wydawniczy rozpoczyna się dn. 15 września. Warunki prenumeraty: rocznie 8 zł., półrocznie 4 zł. 50 gr., cena poj. egz. 80 gr. W Ameryce rocznie 1½ dolara. — **„Dziś i Jutro" wychodzić będzie 15-go każdego miesiąca** *w większej niż dotąd objętości. — Prenumeratorzy, którzy uiścili należytość do końca roku 1928, winni dopłacić do końca nowego roku wydawniczego (1. września 1929 r.)* **tylko 4 zł.**

W Redakcji są do nabycia roczniki „Dziś i Jutro" z lat ubiegłych. — W oprawie — 5 zł., bez oprawy — 4 zł.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: *Julja Felicja Bronikowska.* Drukarnia Polska w Krakowie.

P. T. CZYTELNICZKI!

Czyniąc zakupy, odwiedzajcie Firmy, które się w Waszem czasopiśmie ogłaszają, a powołując się na odnośne ogłoszenie, możecie otrzymać opust w cenach towarów.


DRVKARNIA·POLSKA
KRAKÓW